

Chłodna doskonałość

GRA „snów” Strindberga, którą wystawił Teatr Współczesny w przekładzie Zygmunta Łanowskiego, reżyserii Macieja Prusa i scenografii Ewy Starowieyskiej, reprezentuje późną fazę twórczości już ponad pięćdziesięcioletniego autora. Przednio zaszergowany do naturalistów i ekspresjonistów, ulega, zgodnie z duchem przelomu stuleci, pokusom przenikania tajemnic bytu, penetrowania snów, wnikań w zagadkę życia i śmierci. Sztukę napisał w roku 1901. Wtedy w walce z manieryzmem artyści wywieszczyli sztandar secesji. Ówczesne tendencje nazywa się także moderną.

Twórca „Gry snów” przypisał się do tych tendencji. Znalazł w nich psychiczne wsparcie do walki z rozterkami pesymisty i, co tu kryć, manią prześladowczą, w którą poprzednio wpędzali go własne cechy charakteru i życiowe katastrofy, zwłaszcza dotyczące niefortunnych związków małżeńskich.

Sztuka mówi o ziemi jako dolinie udręk, będącej koszmarnym snem jakiegoś bóstwa — w konkretnym wypadku indyjskiego Indry, wysyłającego na ziemię swoją córkę, by stwierdziła, co się dzieje na przysłowiowym łożu padole. Nie jest wszakże aktem autorskiej rozpacz.

Przeciwnie — jest zabiegiem samouzdrawicielskim. Zamykając w utworze artystycznym, trapiące autora obsesje, tym samym wyzwala go od nich.

No dobrze, ktoś zapyta. Autor kuruje się, ale dzieląc się swymi bólami z widownią, czy nie narzuca jej swoich żalów do świata? Co oni winni, że on się dręczył? Na to mamy odpowiedź: — że także widzowie przez przeżycie teatralne oczyszczają swoje myśli od nabrzmiałych rozterek. Rozkładaniu ulegają także ich nie dowiedzione kłopoty przez unaocznienie podobnych.

A więc wystawiając „Grę snów” teatr mógłby przyczynić się do uspokojenia dusz. Niestety, dla nas w sprawach nie najbardziej jątrzących, niekiedy raczej śmiesznych. Przeżył byłego Don Juana, przykutego do wózka i zmuszonego do asystowania przy orgiach pielęgniar-ki-kokoty nie bulwersują, mimo dobrej gry Ryszarda Ostawitowskiego i Danuty Pietraszkiewicz.

Joanna Szczepkowska w bardzo starannie opracowanej roli córki Indry w scenach z Krzysztofem Wiczorkiem jako ubogim adwokatem ma wykazać, jak nawet dobroć zamienia się w piekło, w konkretnej sytuacji w piekło rodzinne. Podobnie sceny Antoniny Gordon-Góreckiej jako matki z Henrykiem Borowskim jako ojcem i Janem Englertem jako synem-officerem służą wyolbrzymieniu bólów i trosk dość częstych.

Sztuka pokazuje jakby przez szkło powiększające proste ludzkie udręki, tak jak bywają wyolbrzymione w koszmarnych snach. Przedstawienie jest wyreżyserowane precyzyjnie, gra całego kilkunastuosobowego zespołu jest niezawodna. Rzekibyś dyplomowe studium na piątkę. Tylko że nie zostaje przekazane widzom przeżycie się niedolą i bólami bohaterów. A to już nie dzieje się z winy ani gry, ani reżyserii, ani scenografii, ani umiejętności pisarskiej autora. Po prostu żyjemy w świecie większych kłopotów, więc wychodzimy z teatru wzdychając, że mamy większe zmartwienia.

JERZY ZAGÓRSKI